

# 665 „Kobiety i teatr”

Międzynarodowy Dzień Teatru, przypadający tradycyjnie 27 marca, obchodzony jest w tym roku pod hasłem „Kobiety i teatr”. Z okazji „Dnia” odbywają się spotkania z aktorami, reżyserami i dyrektorami teatrów oraz przygotowane zostały specjalne programy poświęcone kobietom w teatrze, w telewizji i w radiu. W tym uroczystym dla ludzi teatru oraz dla milionowych rzesz miłośników i przyjaciół teatru w dniu, zamieszczamy rozmowę z wybitną aktorką Ryszardą Hanin.

— Początki Pani kariery scenicznej związane są z Teatrem i dywizją im. Tadeusza Kościuszki w Sielcach?

— Tak. Był to dla mnie bardzo piękny okres. Ale od tego czasu minęło 30 lat mojego życia „pozawojkowego”.

— Proszę opowiedzieć o początkach działalności zawodowej.

— Jako aktorka, już z „papierkiem” stawałam pierwsze kroki pod opieką Leona Schillera w Łodzi. W 1948 r. zabrał mnie on ze sobą do Teatru Polskiego do Warszawy, gdzie grałam aż do czasu utworzenia Teatru Dramatycznego. Tutaj jestem do dzisiaj z dwuletnią przerwą, kiedy wróciłam na krótko do Polskiego.

— Ostatnio oglądaliśmy Panią w telewizyjnym filmie „Gra”. Jak układa się Pani współpraca z tą instytucją?

— Czuję do telewizji duży sentyment. Dała mi szansę zagrania kilku naprawdę ciekawych ról. Od razu, w pierwszej sztuce „Oni wiedzą co to jest miłość” — a działo się to kilkanaście lat temu — kazano mi się mocno postarzeć. Grałam

wówczas 80-letnią amantkę, obok Bardiniego, który był Berliozem, po latach tułaczki powracającym do swojej ukochanej.

— Często gra Pani role matek, kobiet starszych, którym życie nie szedźci ciężkich doświadczeń i które borykają się z losem...

— Tak, ale to jest dobra szkoła, nie każe się upierać, zwłaszcza kobiecie — przy młodości. Role ludzi starych są poza tym ciekawsze, bogatsze. Często pytają mnie, czy nie czuję się zasznuflowana. Odpowiadam, że nie — matki są przecież tak różne, staram się nie powlekać tych ról, podchodzę do każdej z nich indywidualnie.

— Wspomniała Pani o wymarzonych rolach — jakie to były i są?

— Przede wszystkim postacię z Czechowa. W jednym wypadku udało mi się marzenie zrealizować — Sonia w „Wujaszku Wani”. Teraz przestałam marzyć. Zresztą nie zawsze marzenia bywają słuszne. Najtragiczniejsze jest kiedy aktor zagra tę swoją wymarzoną rolę, a ona okaże się kleską. I tak się zdarza.

— Jest Pani również profesorem w PWST. Czy przynosi to Pani zadowolenie?

— Ogromne. Praca z młodzieżą jest ciekawa. Większość grupy, z którą pracowałam znalazła się teraz w zespole Teatru Płockiego. Wierzę w ten teatr i będę starała się nie tracić z nimi kontaktu.



— Niezbyt często oglądamy Panią na ekranie?

— Kiedyś grałam często w polskich produkcyjniakach. Były to role szleszczące papierem, ale nauczyłam się przy nich pracować. Taką postacią jest trudniej zagrać niż rolę dobrze napisaną. Ostatnio ciekawą dla mnie propozycją była rola matki schizofreniczki w „Drzwiach w murze”. Doskonałe współpracowało mi się ze Stanisławem Różewiczem i śleszę się, że ten film zdobył Srebrną Muszlę na festiwalu w San Sebastian.

— Chciałabym zapytać o Pani satysfakcje zawodowe?

— Zawód aktora jest ciężki, wymagający kondycji nie tylko fizycznej, ale także psychicznej odporności na wszystkie gorycze, stresy, niepokoje, a tego jest 80 proc. Zostaje więc 20 — są to przebieżki sukcesu, powodzenia, radości z udanej roboty, ale jeżeli aktor to ma na swoim koncie — może powiedzieć, że osiągnął pełnię szczęścia zawodowego.

— Pani plany na przyszłość?

— Dolega końca praca nad „Nocami i dniami”, w których gram rolę charakterystyczną Zarneckiej — służącej, alkoholiczki. W telewizji wystąpię jako świadek oskarżenia w „Procesach” Wacława Florińskiego.

DANUTA ORLIK